

MAX PARADOX

SERIA BRUTALNA PRAWDA

Brutalna prawda o Bari i okolicach

Jak wakacje na południu Włoch
obnażają nasze oczekiwania,
ambicje i potrzebę kontroli



SPIS TREŚCI

INTRO	3
Rozdział 1 - Miasto, które nie zamierza ci się podobać ...	13
Rozdział 2 - Bari Vecchia, czyli wakacje w cudzym życiu	27
Rozdział 3 - Polignano a Mare i obowiązek zachwyty....	43
Rozdział 4 - Alberobello, gdzie wszyscy chcą być wyjątkowi tak samo	59
Rozdział 5 - Monopoli, czyli kiedy nic się nie dzieje i właśnie to zaczyna przeszkadzać	75
Rozdział 6 - Matera, czyli miejsce, przy którym wypada poczuć coś więcej	90
Rozdział 7 - Samochód, który miał dać wolność	105
Rozdział 8 - Restauracja, w której miało być idealnie	120
Rozdział 9 - Plaża, która miała być odpoczynkiem.....	133
Rozdział 10 - Wakacyjny budżet, który miał nie mieć znaczenia	151
Rozdział 11 - Bari nocą, kiedy szkoda iść spać	167
Rozdział 12 - Locorotondo, które miało być tylko po drodze	183
Rozdział 13 - Włosi, których przyjechałeś tu spotkać	197
Rozdział 14 - Ostuni, czyli kiedy miasto ma wyglądać dokładnie tak jak na zdjęciu	213
Rozdział 15 - Lecce, gdzie wszystko jest trochę zbyt piękne	229
Rozdział 16 - Trani, czyli tutaj mógłbym mieszkać.....	245

Rozdział 17 - Groty Castellana, czyli zejście, którego nie da się przyspieszyć	261
Rozdział 18 - Castel del Monte, czyli człowiek nie znosi tajemnicy bez rozwiązania	277
Rozdział 19 - Giovinazzo, czyli czy coś jest piękne, jeśli nikt nie kazał ci się zachwycić.....	291
Rozdział 20 - Lot powrotny, czyli Bari nagle staje się lepsze	305
ZAKOŃCZENIE	321

INTRO

Pierwszy kontakt z Bari zaczyna się zwykle nie od zachwytu, tylko od drobnego rozczarowania, którego nikt nie chce nazwać rozczarowaniem, bo przecież właśnie zaczęły się wakacje. Wychodzisz z lotniska z głową pełną południowych Włoch, błękitnego Adriatyku, białych kamienic, espresso wypijanego przy marmurowym stoliku i tej szczególnej włoskiej lekkości, którą internet sprzedaje w pakiecie razem z biletem lotniczym za kilkaset złotych. Potem widzisz parking, taksówki, asfalt, znaki drogowe, zmęczone fasady i człowieka, który pali papierosa w miejscu wyglądającym zdecydowanie mniej filmowo, niż powinno wyglądać południe Włoch w pierwszych pięciu minutach twojego urlopu. W tej chwili uruchamia się pierwszy mechanizm tej podróży - obrona inwestycji emocjonalnej. Skoro zapłaciłeś, zaplanowałeś, opowiedziałeś znajomym, kupiłeś nowe okulary przeciwsłoneczne i przez trzy tygodnie sprawdzałeś restauracje w Google, nie możesz po prostu pomyśleć: „No dobrze, na razie wygląda przeciętnie”. Musisz natychmiast rozpocząć wewnętrzną kampanię marketingową na rzecz własnej decyzji. Mówisz więc sobie, że to tylko lotnisko, że prawdziwe Bari zacznie się za chwilę, że klimat trzeba poczuć, a poza tym przecież nie przyjechałeś tutaj oglądać terminala. I masz rację, tylko że ta potrzeba natychmiastowego bronięcia wyjazdu będzie ci towarzyszyć jeszcze wiele razy, bo współczesne wakacje nie są już wyłącznie podróżą. Są egzaminem z tego, czy potrafisz udowodnić sobie, że dobrze wydałeś pieniądze.

Kilka godzin później stoisz w Bari Vecchia, pomiędzy wąskimi uliczkami, praniem rozwieszonym nad głową, skuterem przeciskającym się z logiką pocisku i starszą

kobietą siedzącą przed domem tak naturalnie, jakby cały twój pobyt był tylko przypadkowym epizodem rozgrywającym się przed jej krzesłem. To jest moment, w którym turysta zaczyna doświadczać nie miasta, lecz własnego wyobrażenia o autentyczności. Jeśli widzi plastikowe krzesło, obdrapaną ścianę i suszące się prześcieradło, może uznać je za biedę, chaos albo niedbałość, ale wystarczy odpowiedni kadr, ciepłe światło i podpis „prawdziwe południe Włoch”, żeby dokładnie ten sam zestaw stał się estetyką wartą tysiąca polubień. Mechanizm jest prosty - to, co w domu nazwalibyśmy bałaganem, na wakacjach otrzymuje status lokalnego kolorytu. Nagle odpadający tynk nie oznacza zaniedbania, tylko historię, a głośna rozmowa przez otwarte okno nie jest zakłócaniem ciszy, tylko śródziemnomorskim temperamentem. Nie chodzi o to, że Bari jest fałszywe, lecz o to, że turysta rozpaczliwie chce, aby było prawdziwe w sposób, który wcześniej sobie zamówił. Miasto ma spełnić rolę dekoracji dla jego przekonania, że na kilka dni wydostał się z własnego przewidywalnego życia. Jeżeli dekoracja pasuje, zachwyca się autentycznością. Jeżeli nie pasuje, szuka następnej uliczki.

Bari ma szczególny talent do psucia wygodnych kategorii, dlatego jednego dnia wydaje się piękne, drugiego zaniedbane, trzeciego żywe, a czwartego zwyczajnie męczące. Najbardziej drażni tych, którzy przyjechali po jednoznaczną odpowiedź na pytanie, czy warto było tu przylecieć. Człowiek lubi miejsca, które dają się szybko sklasyfikować, bo klasyfikacja uspokaja i pozwala wrócić do telefonu z poczuciem poznawczego porządku. „Piękne”, „przereklamowane”, „klimatyczne”, „brudne”, „magiczne”, „nic specjalnego” - sześć etykiet wystarczy, żeby

zredukować miasto liczące setki tysięcy mieszkańców do komentarza pod rolką. Bari stawia opór tej wygodzie, ponieważ potrafi być zachwycające i nieatrakcyjne w odstępie trzech minut spaceru. Taki dysonans jest psychologicznie niewygodny, bo zmusza do utrzymania dwóch sprzecznych ocen jednocześnie. Można siedzieć nad morzem i czuć przyjemność, a chwilę później wejść w ulicę, której nie zamieściłby żaden katalog wakacyjny. Można zjeść fantastyczny makaron w miejscu wyglądającym jak zaplecze sklepu i kiepski w restauracji przygotowanej wizualnie do przyjęcia delegacji influencerów. Miasto nie ma obowiązku być spójne, ale turysta bardzo chciałby, żeby było.

Potem przychodzi pierwszy posiłek i rozpoczyna się kolejny rytuał, tym razem związany z potrzebą potwierdzenia własnego smaku. Karta jest po włosku, kelner nie wygląda na człowieka zainteresowanego twoim procesem decyzyjnym, a ty próbujesz zachować minę osoby, która dokładnie wie, co robi, mimo że trzy minuty wcześniej sprawdzałeś w telefonie różnicę między orecchiette a cavatelli. W tej chwili jedzenie przestaje być jedzeniem i staje się testem kompetencji kulturowej. Chcesz zamówić coś lokalnego, ale nie przesadnie dziwnego, autentycznego, ale bez ryzyka, najlepiej takiego, żeby można było później powiedzieć, że jadłeś to, co jedzą miejscowi. Problem polega na tym, że miejscowi nie uczestniczą w twoim egzaminie z włoskości i mają kompletnie obojętne, czy wybrałeś właściwy makaron. Całe napięcie istnieje wyłącznie w twojej głowie, bo potrzebujesz udowodnić sobie, że nie jesteś zwykłym turystą. Zwykły turysta zamawia pierwszą pizzę z menu. Ty przez osiem minut analizujesz składniki, by ostatecznie zamówić coś

bardzo podobnego, tylko z większym poczuciem intelektualnego zwycięstwa.

Właśnie dlatego Bari i okolice są ciekawsze psychologicznie niż turystycznie, choć oczywiście przewodniki będą próbowały przekonać cię do odwrotnej kolejności. Tutejsze miasta działają jak laboratoria statusu, oczekiwań, cierpliwości i potrzeby kontroli, ponieważ podróżujący przywozi ze sobą znacznie więcej niż walizkę. Przywozi ranking miejsc, które „trzeba zobaczyć”, listę restauracji, zdjęcia znalezione wcześniej w internecie, opinię znajomego, który był tu cztery lata temu, oraz ciche założenie, że urlop powinien produkować przyjemność z wydajnością dobrze zarządzanej fabryki. Każda godzina ma zostać wykorzystana, każdy kilometr powinien prowadzić do czegoś wartego zobaczenia, a każdy posiłek najlepiej gdyby uzasadniał wcześniejsze dwadzieścia minut spaceru. Gdy pojawia się nuda, irytacja albo zmęczenie, człowiek traktuje je niemal jak błąd organizacyjny. Zapłacił przecież za wakacje, więc psychika oczekuje zwrotu z inwestycji w postaci emocji. Bari odpowiada na ten kontrakt dość bezczelnie, ponieważ nie przejmuje się twoim harmonogramem. Sklep może być zamknięty, kelner może nie spieszyć się z rachunkiem, parking może istnieć głównie w teorii, a uliczka reklamowana jako „ukryty klejnot” może zawierać dokładnie siedem metrów kamienia i kota śpiącego pod samochodem. Jeżeli przyjechałeś konsumować idealnie zoptymalizowane doświadczenie, południowe Włochy bardzo szybko zaczną negocjować warunki.

Najbardziej widać to podczas przemieszczania się pomiędzy miejscami, które wcześniej na ekranie telefonu wyglądały jak elementy jednej pięknej całości. Polignano a Mare, Monopoli, Alberobello czy Matera układają się w

internecie w elegancką sekwencję pocztówek, ale rzeczywista podróż pomiędzy nimi zawiera korki, szukanie parkingu, upały, chodzenie pod górę, pomyłki na rondzie i tę specyficzną ciszę w samochodzie, kiedy jedna osoba twierdzi, że nawigacja źle pokazała, a druga dokładnie pamięta, kto przegapił zjazd. Wakacje z partnerem lub rodziną są w takich momentach niezwykle skutecznym eksperymentem relacyjnym. W domu można przez miesiące utrzymywać przekonanie, że konflikty wynikają z obowiązków, pracy i zmęczenia. Potem wyjeżdżacie razem na urlop, macie słońce, dobre jedzenie, wolny czas i nadal potraficie pokłócić się o to, czy samochód należało zostawić trzysta metrów wcześniej. To psuje bardzo wygodną teorię. Okazuje się, że część napięcia nie została w Polsce, bo przyjechała razem z wami w bagażu podręcznym. Tyle że teraz kłótnia odbywa się w wyjątkowo fotogenicznym otoczeniu.

Alberobello jest pod tym względem miejscem niemal laboratoryjnym, ponieważ jego charakterystyczne domki potrafią uruchomić mechanizm turystycznego obowiązku zachwytu szybciej niż komunikat o promocji w sklepie bezcłowym. Wiesz, że miejsce jest wyjątkowe, ponieważ wiedziałeś to jeszcze przed przyjazdem. Widziałeś zdjęcia, przeczytałeś opisy, być może zapisałeś kilka punktów na mapie, więc kiedy wreszcie stajesz pomiędzy białymi budynkami ze stożkowymi dachami, psychika oczekuje reakcji adekwatnej do przygotowania. Problem zaczyna się wtedy, gdy pierwszą emocją nie jest zachwyt, lecz myśl: „No dobrze, rzeczywiście tak wyglądają”. Wtedy pojawia się lekki niepokój, ponieważ atrakcja spełniła obietnicę wizualną, ale niekoniecznie emocjonalną. Zaczynasz więc chodzić, robić kolejne zdjęcia i szukać punktu, w którym

uczucie wreszcie dogoni obraz. Im więcej zainwestowałeś w oczekiwanie, tym trudniej przyznać, że rzeczywistość może być po prostu ciekawa zamiast transformująca. To jedna z najbardziej brutalnych prawd podróżowania - miejsce może być wyjątkowe, a ty nadal możesz nie przeżyć niczego wyjątkowego. Żadna architektura nie ma obowiązku naprawiać twojej zdolności do odczuwania.

Polignano a Mare wykonuje podobny numer, tylko przy użyciu klifu, morza i perspektywy, którą aparat w telefonie rozumie czasem lepiej niż człowiek. Stoisz w punkcie widokowym razem z kilkudziesięcioma osobami, z których każda próbuje przez kilka sekund zachowywać się tak, jakby pozostałych nie było. Ktoś robi zdjęcie partnerce, partnerka sprawdza zdjęcie, zdjęcie jest nieodpowiednie, więc cała scena rozpoczyna się od początku, tym razem z poprawionym kątem głowy. Kilka metrów ktoś nagrywa film, na którym przypadkowi przechodnie stają się problemem technicznym wymagającym przeczekania. Wspaniały krajobraz zostaje podporządkowany prywatnej produkcji dowodów na to, że właśnie wydarzyło się coś wspaniałego. Mechanizm nie jest próżnością w najprostszym sensie, lecz potrzebą utrwalenia wartości chwili. Jeżeli czegoś nie zapiszesz, zaczynasz podejrzewać, że moment może zniknąć zbyt łatwo, a wraz z nim część sensu podróży. Robisz więc zdjęcie morza, którego prawdopodobnie nigdy nie ustawisz jako tapety, i sześćdziesiąt sekund później nawet na nie nie patrzysz. Najważniejsze jest to, że zostało zabezpieczone.

Monopoli potrafi natomiast wprowadzić człowieka w stan przyjemnego zamieszania, ponieważ jest wystarczająco ładne, żeby chcieć zostać dłużej, i wystarczająco normalne, żeby nie wiedzieć dokładnie, co właściwie powinno się tam

robić. Nie ma tu konieczności nieustannego odhaczania symboli o znaczeniu międzynarodowym, więc nagle pojawia się przestrzeń, której współczesny turysta trochę się boi - czas bez wyraźnego zadania. Można spacerować, usiąść, zjeść, patrzeć na port i przez pół godziny nie osiągać niczego mierzalnego. Dla osoby przyzwyczajonej do planowania brzmi to romantycznie tylko do momentu, gdy naprawdę musi to zrobić. Wtedy pojawia się telefon, sprawdzanie kolejnej restauracji, następnego punktu, opinii, odległości i godziny zamknięcia. Bez planu zaczyna być podejrzenie, bo plan daje poczucie, że urlop nie wymknie się z rąk. Paradoks polega na tym, że właśnie ta potrzeba kontroli potrafi zamienić wolny czas w kolejne zadanie projektowe. Człowiek wyjeżdża odpocząć od pracy, po czym zarządza wakacjami jak kierownik operacyjny odpowiedzialny za maksymalizację liczby atrakcji na godzinę.

Matera idzie jeszcze głębiej, ponieważ jej ciężar wizualny i historia niemal automatycznie wymuszają poważniejszy ton, nawet jeżeli pięć minut wcześniej zastanawiałeś się głównie nad tym, gdzie kupić zimną wodę. Kamienne miasto sprawia, że łatwo poczuć coś większego od zwykłej turystycznej przyjemności, ale równie łatwo zacząć udawać przed samym sobą, że czuje się więcej, niż czuje się naprawdę. Człowiek ma zaskakująco silną potrzebę dostosowywania emocji do rangi miejsca. W muzeum staje się poważniejszy, w katedrze ścisza głos, na punkcie widokowym robi minę sugerującą kontakt z czymś fundamentalnym. Nie dlatego, że jest fałszywy, lecz dlatego, że kontekst podpowiada mu, jak powinien reagować. Matera przypomina, że autentyczność własnych emocji jest znacznie mniej oczywista, niż lubimy sądzić. Można być

naprawdę poruszonym i jednocześnie świadomym, że część tego poruszenia została wyprodukowana przez oczekiwanie, narrację oraz wyjątkowo dobrze dobrane światło późnego popołudnia. Jedno nie unieważnia drugiego. Psuje jedynie romantyczną wersję historii, w której uczucia pojawiają się zawsze spontanicznie, czysto i bez pomocy scenografii.

Najbardziej bezlitosnym elementem Apulii pozostaje jednak temperatura, ponieważ ciało szybko odbiera psychice prawo do udawania osoby bardziej wyrafinowanej, niż jest w rzeczywistości. Możesz czytać o historii regionu, zachwycać się architekturą i planować degustację lokalnej oliwy, ale przy odpowiednim upale zaczynasz oceniać miasta według liczby miejsc oferujących cień, klimatyzację oraz zimne napoje. Hierarchia wartości zostaje brutalnie uproszczona. Piękna uliczka bez cienia przegrywa z przeciętną kawiarnią posiadającą działającą klimatyzację, a zabytkowy plac po kilku godzinach spaceru zaczyna wyglądać jak przestrzeń celowo zaprojektowana do testowania granic ludzkiej cierpliwości. To ciekawe, jak szybko wielkie idee przegrywają z fizjologią. Człowiek chce myśleć o sobie jako o istocie kierującej się kulturą, estetyką i ciekawością świata, dopóki nie spoci koszulki w ciągu siedmiu minut. Potem jego podstawowym systemem wartości staje się dostępność zimnej wody. Bari i okolice mają wiele sposobów na redukcję ego, ale trzydzieści kilka stopni działa wyjątkowo skutecznie.

Wieczorem wszystko ponownie się zmienia, bo światło łagodnieje, temperatura spada, stoliki wychodzą na ulice i miasto zaczyna wyglądać tak, jak miało wyglądać od początku. W tym momencie uruchamia się selektywna pamięć. Człowiek zapomina o korku, złym zjeździe, dwudziestominutowym szukaniu parkingu, zbyt drogiej